Nauczanie w pandemii

Istnieją zawody, na wykonywanie których pandemia praktycznie nie wpłynęła. Już rok temu pojawiły się memy przedstawiające dwa takie same wizerunki św. Hieronima z podpisami: przed pandemią i w czasie pandemii. Rzeczywiście, do takich zawodów należy profesja tłumacza. Nie jest to jednak do końca prawda, bo tłumacz potrzebuje czasami sprawdzić coś w bibliotece, a jeśli ma małe mieszkanie i gadatliwą rodzinę — woli pracować w czytelni. Takiego luksusu pandemia tłumaczy pozbawiła. Pozostały im zasoby internetowe oraz słuchawki na uszy.

Wiem, co mówię, bo bywam tłumaczem. Ale przede wszystkim jestem nauczycielem akademickim, a na pracę w tej profesji pandemia miała wpływ olbrzymi. Wszyscy, bez względu na dotychczasowy poziom komputerowego zaawansowania musieliśmy się przestawić na zdalne nauczanie. Dość szybko pojawiły się wśród nas szatańskie opinie, by uczyć gorzej niż stacjonarnie, żeby nasz uniwersytet nie przyzwyczaił się do myśli, że tak można prowadzić zajęcia nawet po pandemii. Opinie te jednak szybko ucichły, kiedy już było wiadomo, że lockdown nie potrwa dwóch tygodni, ale znacznie dłużej. Zaczęliśmy więc kombinować, jak to zrobić, żeby jednak czegoś studentów w tych nowych warunkach nauczyć. Pojawił się nowy język: zaproszenie na Teamsach, spotkanie na Zoomie lub Meecie. Ten, kto spędza zbyt wiele czasu na Zoomie — nazywany jest „zoombie" (w jidysz pojawiło się nawet określenie „ojsgezoomt", a w rosyjskim czasownik „zumitsja"). W czasie jednego z wykładów zwrócono mi uwagę, że jestem „zmutowany", co nie dotyczyło na szczęście mutacji wirusa, ale przypadkowego wciśnięcia klawisza „mute", wyłączającego mikrofon. Mój ulubiony mem przedstawia Kartezjusza i podpis: „Covido, ergo zoom".

Najprościej mieli ci z nas, którzy prowadzili wykłady, niewymagające szczególnej interakcji ze strony słuchaczy. Niektórzy do tej pory nie wygłaszają wykładów, ale wysyłają studentom konspekty, co jednak nie jest najlepszym rozwiązaniem: studenci mają i tak sporo do czytania. Ćwiczenia trzeba było zmodyfikować i zadawać studentom do czytania wyłącznie takie teksty, które są dostępne w sieci, lub je skanować i wysyłać. Z warsztatami, przynajmniej w moim przypadku, było gorzej: problemy techniczne często utrudniały kontakt z wieloma studentami.

Najgorsze jednak były zaliczenia i egzaminy. Przykro mi o tym pisać, ale jestem przekonany, że na ekranie studenci mieli często otwarte notatki z lektur czy wykładów i nierzadko je po prostu czytali. Sprawdzić tego — nie sposób, choć im lepsze student miał internetowe łącze, tym wyraźniej widać było, że czyta, a nie mówi z pamięci. Znany jest przypadek studentki warszawskiej teatrologii, która w trakcie egzaminu zaczęła udawać, że zepsuł jej się mikrofon i mówiła bezgłośnie. Ponieważ jednak nie wyłączyła mikrofonu, zdradził ją dźwięk telefonu, który nagle zadzwonił. Egzaminujący ją profesor natychmiast zaproponował, żeby przeniosła się na wydział aktorski.

Całkiem dobrze przebiegają natomiast obrony doktoratów i mam wrażenie, że nawet po pandemii będą one organizowane w ten sposób. Zmniejszy się wówczas wprawdzie, albo w ogóle zniknie, tzw. turystyka doktoratowa, którą wielu profesorów bardzo sobie ceniło: wyjazdy do innych miast, tradycyjne obiady — to zapewne nie wróci. Szczerze mówiąc, nie przepadałem za tym, więc przyjmę tę zmianę z ulgą.

Natomiast tęsknię za normalnymi zajęciami, nawet tymi w ciasnych salkach uniwersyteckich. Cierpliwie czekam na drugą dawkę szczepionki i mam nadzieję, że niebawem rozpocznie się szczepienie studentów i uczniów. Jasne, że musimy sobie jakoś radzić, ale mam świadomość, że nauczanie zdalne nie da tych efektów dydaktycznych, jakie daje nauczanie „w realu". A studiowanie to przecież nie tylko chodzenie na zajęcia, ale i kontakty z innymi studentami, życie społeczne i towarzyskie, wspomagane co najmniej kofeiną; życie, którego nie zastąpią żadne komunikatory.

Nawet jeśli się planuje w przyszłości pracę tłumacza i tryb życia przypominający żywot św. Hieronima.

MICHAŁ RUSINEK
Uniwersytet Jagielloński

Jeszcze słowo o punktozie

To istotnie choroba, także rodzaj pandemii. Ale znane jest jej praźródło. Bowiem w zarządzaniu nauką, na rozmaitych szczeblach, dochodzi do konieczności podjęcia decyzji ilościowej, nie 'dobry' czy 'znakomity' i tak dalej, ale 'ile PLN przyznać?'. To, skądinąd oczywiste, stwierdzenie leży u podstaw wszystkich systemów punktowych. Dopiero potem zaczyna się 'kombinowanie'…

Pytanie, jak można z tym sobie poradzić uczciwie i sensownie, jest już trudniejsze. Przeliczanie tzw. 'zobiektywizowanych' współczynników można wprawdzie usprawiedliwiać, ale nie uzasadnić. Bo są 'obiektywizowane' w jakimś innym celu, a nie dla finansowych decyzji strategicznych w nauce.

Przyłączam się do fundamentalnej krytyki ocen awansowych (w szczególności chodzi o habilitacje i profesury) opartych na czynnikach wpływu (zwłaszcza 'sumarycznych'!) i innych wskaźnikach liczbowych. Opinia rzetelnych recenzentów znaczy o wiele więcej. Podobnie w konkursach o granty. Ale dostrzegam pewien problem związany z tajnością recenzentów. To ma zalety, ale i wady, o których coraz głośniej się słyszy. Osobiście jestem za jawnością procedur. Powinniśmy mieć odwagę w podejmowaniu prawidłowych, niekoniunkturalnych decyzji. Nie mówiąc już o osobistych uprzedzeniach czy tym podobnych kwestiach. Jawność ocen może być kontrolowana przez nasze środowisko, niechby to było naszym wkładem w 'społeczeństwo obywatelskie w nauce'.

A decyzje finansowe? No cóż, tym miał kiedyś rządzić Komitet (BN), potem ktoś wpadł na pomysł, by to przekształcić w ministerstwo i tak teraz mamy. Ale uważałbym za niezwykle pożądane poddanie wyników decyzji finansowych ocenie organów społecznych, w szczególności towarzystw naukowych, które w tych procesach nie uczestniczą, a są wysoce kompetentne. To mógłby być wstęp do nowego etapu podejmowania decyzji.

JANUSZ LIPKOWSKI
Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie